

565



# Groźna komedia Gombrowicza

Teatr im. Wilama Horzycy realizuje swe plany repertuarowe w niesłychanym, imponującym tempie. Uzbrojeni we wściekniejsze dowiadczczenia przyzwyczajiliśmy się uważać ilość 8 czy 9 sztuk w roku za program przyzwoity. Tymczasem przed kilkoma dniami, a więc zaledwie na półmaka sezonu 1976/77, odbyła się siódma już z kolei premiera. Po małoobsadowej „Nocy trybada” teatr zaproponował nam – prawem kontrastu – widowisko wielkie, oparte na świetnej literaturze – „Iwonę księżniczkę Burgunda” Witolda Gombrowicza w reżyserii Krystyny Meissner i scenografii Andrzeja Markowicza, znanego nam już z oprawy plastycznej granich na Małej Scenie „Emigrantów” Mrożka.

NIMO iż od momentu napisania „Iwony” upłynęło już lat prawie 40, stanowi ona dla toruńskiej publiczności pewne novum, jako, że ani Teatr im. W Horzycy, ani też sceny uczestniczącej w festiwalu nie sięgaly dotąd po nietatwa, choć wdzięczną materię sztuk Gombrowicza, twórcy literatury pozorowego bezsensu, składają tego się na filozoficzną metaforę ludzkiego losu.

„Iwona księżniczka Burgunda” jest dramatem o zespole pewnych wzorów kultury, któremu grozi rozpad w momencie naruszenia przyjętych reguł ary Mówiąc prościej – jest sztuką demaskującą powszechne zakłamanie w stosunkach międzyludzkich, grę masoch i potowów, zatajanie w żywiole naśladowania, udawania, gombrowiczowskiego „robienia gęby”. Królewski dwór z jakim mamy tu do czynienia, istniejący jak w „Królu Ubu” – wszędzie i nigdzie – działa na zasadzie obowiązującego systemu znaczeń, norm i łrozesów tego sprawne funkcjonowanie zakłada pojawienie się osobe tragicznie innej i własnie przez swą „innosc” wywołującą nieprzewidziane, coraz ostrzejsze reakcje. Brzydka, pokraczna milcząca twornie umiejająca znaleźć dla siebie miejsce w tym świecie musi być usunięta zanim zniszczy obowiązujące układy. Jej bierność jest bowiem wyzwoiem. Żywa aluzja d brzydkich sprawaek czy wstydlivych, które zostały skutecznia skryte pod niezłym systemem nastepowania. Nie szesnaa królowa „Burunda” raz tylko potrafił poow porządkować się regułem ceremonialnym. Będzie to powodem jej śmierci, owego udławienia się ością, które wmo

wią ofierze sprzymierzeni przedwko niej zwolennicy lądu i formy, działając „z góry, z majestatem”. Potem będzie już można wrócić do zakłóconych na chwilę ulubionych pów i gestów, do rytuału pogrzebu, do zgody i harmonii. Świat formy oparł się zagrożeniu i zwycięzył – wszystko jedno, jakim kosztem.

W tym właśnie kryje się całe okrucieństwo i przewrotność sztuki Gombrowicza. Bo „Iwona księżniczka Burgunda” jest – wbrew wszelkim pozorom sztuką groźną. Jej łarsowość i dowcip – to tylko pozor, forma głębszych znaczeń nie pozabawionych autoironii.

PRZEDSTAWIENIE toruńskie już od pierwszych scen wprowadza nas w klimat tych przemysłów. Najdobitniej widać to w ostrej i agresywnej scenografii Andrzeja Markowicza, który skonstruował na scenie budowlę prowadzącą na myśl jakieś śpiorne, księżycowe miasto.

W części pierwszej pełni ona jeszcze rolę dobrotliwej, swojskiej krakowskiej szopki ze złotą oświetloną strzechą – w jej mansjonach ruszają się kolorowo ubrane lalki, konwencjonalizm dworskiego świata podkreślają ceremonialnie wygięte manekiny. W części drugiej iluzja znika – wraz z pogłębiającym się – z winy Iwony – zagrożeniem przepadającą oszobniti, pozostają gołe, szare, eks presyjnie wygięte mury, zacierają się kolory. Przytłaczają tę nastroj pogłębia jeszcze niepokojąca muzyka Tomasza Ochalskiego. I dopiero w ostatniej scenie wszystko powróci do normy...

Scenografia Andrzeja Markowicza jest zamierzona i usadniona jako interpretacja dzieła literackiego, ukazująca jego klimat bezblednie i konsekwentnie, chwilami – ściałoby się powiedzieć – aż nazbyt wyraźnie w stosunku do całości spektaklu. Bowiem inscenizacja Krystyny Meissner idzie – przynajmniej w li części – w nieokony kierunku, dość znacznie rozmiąja się z propozycją scenografa. Po precyzyjnie i konsekwentnie rozegranym akcie pierwszym w którym zarówno reżyser jak i aktorzy dużą swobodą prowadzą grę w tonacjach komediowych łarsowych, propozycja zaczyna się zacierać, ewoluować w kierunku farsy czystej, w dodatku nie zawsze od-

powiednio kontrolowanej. Część druga jest już prawie w całości przez ów żywioł opanowana, brak jej koniecznej nuty dramatyzmu, nieodwołowego dla tej groźnej komedii klimatu narastającego zagrożenia. Ów brak konsekwencji powoduje, iż z każdą chwilą odchodzimy coraz dalej od Gombrowicza, jego konfliktów i problemów. W tym też okresie scenografia A. Markowicza zaczyna zatracać swój sens, staje się niepotrzebnym, a natrętnym przypomnieniem czegoś, czym toruńska „Iwona” mogłaby być przy odpowiednim wyważeniu proporcji.

Ten brak zdecydowania (czy „si może niedopracowania reżyzerskie” znajduje swój w,raz w grze aktorów spektaklu, którzy po pierwszych udanych scenach zaczynają się potrosze gubić w przekazywaniu podtekstów sztuki. Komponowana sztuczność i konwencjonalność dworskiego światka zmienia się w niezbyt kontrolowane „zagrywanie” pozabawione w dodatku koniecznej – nawet przy daleko posuniętej umowności – dozy prawdy. Widać to m.in. w koncepcji postaci Małgorzaty (Zofia Melechówna) i Szambelana (Jerzy Gliński), a także – choć w mniejszym stopniu – Króla Ignacego (Wojciech Szostak). Czystą stylizację proponuje nam natomiast Grażyna Leśniak w roli Izy.

Postaci Iwony (Ewa Józefczyk) i Filipa (Ryszard Jabłoński) wymagają odrębnego klucza z racji nieokonych zadań wyznaczonych im przez autora sztuki. Można powiedzieć, iż młodzi aktorzy odczytali je właściwie, nadając swym bohaterom odpowiednią dozę prawdy bez nadmiernego balastu liryzmu i przeżywania. Udało się to szczególnie Ewie Józefczyk, której Iwona jest naprawdę autentyczna, jej reakcje mają wręcz „modelowe” znaczenie dla całości sztuki, sprawiają, iż wierzymy, że stała się ona dla dworaków uosobieniem anarchii.

J. OLERADZKA

## OD REDAKCJI

W foyer Teatru W. Horzycy od pewnego czasu panuje piękny zwyczaj eksponowania obrazu jednego z toruńskich twórców. W niedzielę, dnia 30

stycznia br. w czasie antraktu premierowego spektaklu „Iwony księżniczki Burgunda” Gombrowicza dokonano odsłonięcia obrazu Ewarysta Zamela. Obraz tworzą naklejone na płótno (teksturę?) ździebełko sfatygowane, własnoręcznie przez artystę – jak to poświadczyl prelegent wprowadzający – wycinane z tektury wkładki do butów i skrupulatnie chowane z wmyslą o stworzeniu dzieła. Na okoliczność tę poeta toruński napisał wierszyk, który niniejszym drukujemy.

G. I. 0.

Wkładka do butów.  
Pinxit (?): Ewaryst (Ryst Ewa) wyjęta, by ją na lono (wkładkę) przyjął Okopitński.  
Ślub sztuki z księżniczką Iwoną!  
Cała kultura miasta!  
Zgorszona (?) publiczność w teatralnym busjecie.  
Odsłonięcie. Ceremoniał: rodzimochiński.

Po wkładce pelga światelko: niby prelekcja. Prelegent miał może tyle. Do powiedzenia: arte lege.

Obejrzano i obmówiono słownie: 12x9=9x12  
wkładek do butów  
30. stycznia. Niedziela.  
w Teatrze otwarcie wystawy jednego obrazu. E. Zamela.

Oglądat: P. Tryb

• Galeria jednego obrazu.